

# JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

UPIÓR

Józef Kraszewski

**Upiór**

«Public Domain»

## **Kraszewski J.**

Upiór / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Sewery Burba, myśliwy, przy kominku snuje opowieść ze swoich lat młodości. Będąc młodym żołnierzem, w wyniku odniesionych ran, musiał porzucić służbę i wrócić do kraju. Podczas pobytu u krewnych dowiedział się, że ich sąsiedzi, Boguszowie, szukają dzierżawcy. Dobrze się złożyło, ponieważ Seweryn właśnie szukał dla siebie nowego zajęcia. Boguszowie to starsze małżeństwo, które straciło syna na wojnie, o czym nikt nie ośmielił się powiedzieć Boguszowej, która wciąż czekała na powrót syna. Po przybyciu do nich Seweryna okazało się, że do złudzenia przypomina on syna Boguszów. Gdy kobieta ujrzała mężczyznę była przekonana, że to jej syn, który musi ukrywać się pod innym nazwiskiem. Mężczyzna nie chciał udawać zmarłego, ale mąż i córka kobiety przekonali go do tego i został on „synem” Boguszów. Ta decyzja przysporzyła mu wiele kłopotów.

# Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

10

# Józef Ignacy Kraszewski

## Upiór

Siedzieliśmy u komina; suche drewna olchowe płonęły na nim tym spokojnym ogniem, mieniającym się w barwy zielonawe i fioletowe, na który godzinami całemi człowiek zapatrzony się, zadumawszy, siedziałby, ot tak, z rękoma założonemi. Tyras, głowę położywszy na łapach, drzemał, też nosem zwrócony ku kominowi. Trzech starych myśliwych otaczało ognisko to domowe, które nigdy prawie nie wygasło, ja czwarty tuliłem się w kątku za włosieniem okrytą kanapką. Wabiły mnie tam i pociągały niewypowiedzianym urokiem powieści, które całymi wieczorami starzy sobie o dawnych czasach opowiadali. Mało kto naówczas miał ochotę i cierpliwość wziąć się do pióra, lecz bez żywego słowa nikt się dnia jednego obejść nie mógł. Byli tacy niemal z powołania gawędziarze, których Rzewuski niewłaściwie polskimi bardami nazywał, jeżdżący od dworu do dworu, z imienin na imieniny, goszczący nieraz po kilka tygodni, obwożeni po sąsiedztwie, wszędzie przyjmowani serdecznie, około których, jak tylko zasiedli, wszyscy się ustawiali, podsłuchując ich ciekawie. Opowiadanie ich częstokroć nie było bez kunsztu; historyjki te umieli na pamięć, a za każdym razem przybywał im jakiś wariant, kwiatek, dowcip i rys charakterystyczny. Więc choćby rzecz była znana, gdy ją przedziwnie pan łowczy lub cześnik opowiadał, skupiono się dokoła, zrywano boki lub łzami się zalewano, słuchając. Tego wieczora poczęło się jakoś od myśliwskich historyi mniej zabawnych, ale to był wstęp tylko. Potrafić dosyć było o znane imiona księcia Karola, starosty kaniowskiego, Jabłonowskiego lub Gozdzińskiego, jednego ze słynnych dziwaków swojego czasu, aby się pokrewne im postaci, na których nie zbywało, ruszyły i powstały żywe.

Niezliczoną ich moc wydały ostatnie czasy; łatwo to nawet sobie wytłómaczyć można. Gdy zabrakło ludziom, do czynnego, bojowniczego żywota nawykłym, zajęcia, walk, celu jasnego, bujała fantazja i, niespokojną krew burząc, pędziła na rozstajne drogi.

Gorący ludzie, przykuci do domów, stawali się kapryśnymi dziećmi. Dodajmy do tego rozpojenie przez Sasów i ową potrzebę zabawiania się nieustannego, która za nich weszła w obyczaj, podbudzanie się wzajemne w wielkiej gromadzie, wśród której wszyscy gotowi byli iść na wypródkę, aby się gorszymi nie okazać od innych.

Ze trzech starych, siedzących przy kominie, najciekawszym dla mnie był pan Seweryn Burba, którego pułkownikiem tytułowano, choć bardzo być może, iż już poza służbą grzeczni i kochający go przyjaciele trochę go zaawansowali. Słyszałem dawniej, że go i majorem, i kapitanem zwano; zdaje się, że on sam wcale o te tytuły nie dbał.

Śliczny to niegdyś musiał być mężczyzna, bo nawet już przy siwych włosach i późnym wieku jeszcze w nim dawną tę męską piękność widać było; trzymał się po żołniersku, wyprostowany, a w obejściu się z ludźmi miał coś tak łagodnego, sympatycznego, dobrego, iż trudno go było nie pokochać. Z dawnej młodej twarzy zostały mu były jeszcze niebieskie oczy, patrzące serdecznie, usta, uśmiechające się z wyrazem wielkiej dobroci, wspaniałe czoło i policzki świeże, rumiane, mało nawet pomarszczone, choć miał lat przeszło pięćdziesiąt. Spojrzawszy na niego, można się już było wielkiej siły domyślać, jakoż wistocie znano go, że siłaczem był, choć się z tem nigdy nie popisywał. Wszystko, co żołnierz i szlachcic lubić, znać i umieć powinien, pan Seweryn lubił, znał i umiał, jak nikt lepiej. Koniarz był sławny, choć końmi nie frymarczył, jak drudzy, bo się do nich przywiązywał, strzelał doskonale, powoził wybornie, tylko do kieliszka, którego naówczas nadużywano, pociągu nie miał. Wypił czasem przed obiadem, coś i przy obiedzie, ale jak tylko zabierało się na pijatykę, uchodził. Gdy go zaskoczono, zakłęto, przymuszono, choć się marszczył, pił; naówczas jednak nie było żartów, wszystkich pogrzebł, sam wychodząc, jak trzeźwy. Tylko zawsze to potem (opowiadał) odchorował. Przy kieliszku też takim, gwałtem do gardła wlewany, ani już humoru, ani zwykłej uprzejmości nie miał, dąsał się i ostro stawił.

Pana Seweryna widywaliśmy goszczącego u krewnych w sąsiedztwie, a widzieliśmy o nim tylko tyle, że człowiek był majątny, który dobra znaczne całe oddał dzieciom, sobie jeden dworek pod lasem, ogród, ordynaryę i pensyę zostawiwszy. Że okolica, w której mieszkał, dosyć była pusta, a pułkownik z ludźmi żyć lubił, więc częściej pono u krewnych i przyjaciół, niż w domu przebywał. Gdy się zatęsknił za dziećmi i wnukami, zawracał do Horodowszczyzny, i parę miesięcy widać go nie było. Zapraszano go zdaleka nawet na polowania wszelkiego rodzaju, bo nie tylko myśliwym był wielkim, ale najmiłszym w świecie człowiekiem, i przynosił z sobą dobrą myśl wszędzie.

Rzadko się trafia widzieć człowieka, któryby w różnych towarzystwach wśród drobnej szlachty i wielkich panów był tak zawsze jednym i tym samym, nie zmieniając się wcale. Nie czynił mu wstępu stary strzelec w łapciach, ani imponował książę z Dereczyna, a choćby i udzielny. Naturalnym był i godność swoją utrzymać umiał, – jeden tylko majestat niedoli i cierpienia widoczniejsze na nim czynił wrażenie, przed tym skłaniał głowę z poszanowaniem.

Z przeszłości pana Seweryna, oprócz tego, że wojskowo służył, że wiele po świecie był, potem, do kraju powróciwszy, ożenił się szczęśliwie i gospodarzył, – niewiele wiedziałem. A patrząc na tego człowieka, trudno było oprzeć się myśli, że wiele przygód ciekawych w życiu swym przeżyć musiał.

Po anegdotkach myśliwskich tego wieczora zeszło wkrótce na dłuższe opowiadanie o dawnych czasach. Sięgano daleko włąb, bo starzy powtarzali to, co od ojców zasłyszeli, częstokroć też ojcowie od dziadów. Tradycje te, jak wszystkie w świecie, są prawdziwe poezje pokoleń; – prawda w nich leży niekiedy, ale naokoło jej ziarnka snuje poezja swe ideały. Około imion i charakterów skupiają się blaski, gromadzą cienie, iskrzą barwy, które były duszną potrzebą i pragnieniem tych, co niemi przeszłość malowali. Każdy naród ma takie posągi, które rzeźbiły pokolenia; dziecinną jest i śmieszna krytyka historyczna, przychodząca je mierzyć swoim łokciem małym i dłużyć się w tej patynie szlachetnej, jaką je okryły wieki, aby dobyć z pod niej pospolitego kruszcza.

Starzy gawędzili i tak się jakoś zapomnieli, uciekły w przeszłość, że mnie z kanapką zostawili, nie zważając może na defraudowanego słuchacza.

Pan Seweryn tego dnia był w humorze wyśmienitym, ubił kozła i dwa zające, ani razu nie chybił, nikt też zwierza nie przepuścił, za co się zawsze gniewał trochę, i pudeł wogóle było niewiele. Wpłynęło i to zapewne na rozweselenie, że po łowach zjedli smaczno, a teraz u najrozkoszniejszego ognia w świecie siedzieli z fajkami. Płynęły więc historie jedna po drugiej, smutne, wesołe, dziwaczne, niektóre na bajki wyglądające, a z dobrą wiarą przyjmowane; aż pan Seweryn rozpoczął mniej więcej w ten sposób. Zapamiętałem dobrze jego powieść całą, bo żywo mnie naówczas zajęła.

Powróciłem był właśnie do kraju – mówił – którego od lat wielu nie widziałem. Cierpiałem wówczas trochę na postrzał w nodze i, choć rana była zagojona, ból w kości czułem jeszcze. To mnie zmusiło służbę wojskową porzucić. Szczęśliwszy od innych, bo wielu naówczas niespodzianie wracających z własnymi rodzinami mieli zajścia nieprzyjemne, – znalazłem brata, który mi moją ojcowiznę ocaloną, kapitałik dosyć znaczny gotów był natychmiast wypłacić.

Uściskawszy go i Panu Bogu za to dziękując, bo niezależność jest rzeczą drogą i dźwignią wielką, obejrzałem się, co tu robić. Ba! *In quo nati sumus*<sup>1</sup>, po żołnierskim chlebie najbardziej mi się gospodarka uśmiechała. Mamy to we krwi. Kupić coś nie trafiało się, trzeba się było rozpatrzeć wprzód lepiej i samego siebie wypróbować. Brat mi na początek radził dzierżawę, nic byłem od tego.

W okolicy i o to było niełatwo, postanowiłem odwiedzić krewnych, których dużo rozsypanych miałem po różnych ziemiach, i poszukać, ażali się co nie trafi. Choć odrobinę na nogę napadałem, ale był młody, lubiłem ruch, nie brzydziłem się zabawami, szukałem kobiecego towarzystwa – tylko, nie tak jak dzisiejsza młodzież, która w kobietach to najwięcej ceni, co najmniej warto, myśmy wdychali do ideałów, do powietrznych istot i do dobrego towarzystwa; ażeby się mózgi zakochać, musieliśmy trafić na taką, z którą mówić było można.

---

<sup>1</sup> *In quo nati sumus* (łac.) – w czym urodziliśmy się. [przypis autorski]

Ale to – *intra parenthesim*<sup>2</sup>.

Wybrałem się w drogę jakoś pod zapusty – gdzieś wpadł, pełno było wesółych ludzi, a wojskowego, który wracał z owych wojen sławnych, z owych bojów tytanicznych, co się z hukiem działo tysiąca po świecie rozlegały, każdy witał otwartymi rękami. U niejakich państwa Moskorzewskich na Podlasiu, ludzi bardzo zacnych, ale wyszłych pono świeżo z małego, dokąd mnie zawieźli krewni moi Zbąscy, zastałem zjazd nadzwyczaj liczny. Moskorzewscy ci dorobili się byli na dzierżawach fortuny znacznej, on sam potem trochę na dobrach spekulował, – czasy były takie, że je za bezcen sprzedawano, – słowem, przyszli do grosza. A że nie mieli synów, tylko trzy słuszne córki, jak róże rozkwitłe, wesole, dobre i po Bożemu wychowane panny, młodzież się tam, jak na lep, cisnęła. Ludzie też byli niezmiernie, może do zbytku nawet gościnni; – stary, którego obwołano dusigroszem, miał na sobie dowieść, że, choć zbierał grosze, ale je też wydawać umiał. Naprzykrzona niemal była ta ich gościnność, bo, jak człowieka pochwycili, wyrwać się im było trudno.

Panny choć były ładne, posażne, mnie jakoś do żadnej z nich nic nie ciągnęło; nie mogłem też zaś myśleć o ożenku, bo za naszych czasów kto gniazda własnego nie miał, nie ważył się w konkury, aby nań nie mówiono, że chciał się na żoninym fartusku. Zaraz pierwszego dnia Moskorzewski, człek grzeczny, a szczególnie dla mnie, jako dla starego wojskowego, z respektem wielkim, gdy się coś zgadało, że dzierżawy szukam, wystąpił:

– My wam ją tu znajdziemy, jak pana Boga kocham.

Wziąłem to za puste słowo i tylko mu głową kiwnąłem. Drugiego dnia przy śniadaniu wziął mnie na bok.

– Wiesz pan co – rzekł – ja mam już dla waćpana na myśli dzierżawę. O kilka mil stąd mieszkają Boguszowie, rodzina zacna i majątna. Ci mają dobra rozrzucone, on sam takiego gospodarstwa dopilnować nie może, szczęściem dla niego będzie, gdy uczciwego człowieka znajdzie, z którym bezpiecznie mieć do czynienia.

– Ale jakże tak obcesowo wpaść? – rzekłem.

– Znajdziemy chwilę sposobną i kogoś, co tam w tym domu jest położony; pojedzie się od tak w odwiedzinę, i może się tam coś złożyć. Ludzie wielce grzeczni, mili, a gościom radzi, bo i staruszka się rozerwie.

Chciałem spytać o szczegóły, ale Moskorzewskiego odciągnięto, i na tem się skończyło, tylko Boguszów zapamiętał. Tańcowaliśmy dnia tego do upadłego i nie rozeszli aż nad rankiem. Dano nam ze Zbąskim stancyjkę osobną do przespania się w oficynie; gdyśmy tam zaszli, a choć pomęczeni, ale rozbawieni, rychło zasnąć nie mogli, o różnych rzeczach rozmawiając, powiadam Zbąskiemu:

– Jacy to Bogusze, co mi u nich Moskorzewski stręczy dzierżawę?

– Jacy Bogusze? – odezwał się Zbąski śmiejąc – otoś mi doskonały. Boguszów i Bohuszów z różnymi przydomkami w Litwie, w Koronie i na Rusi moc wielka. Familia znaczna, rozrodzona, są i majątni, są i ubożsi, nie wiem, o których ci mówił. Domyślałem się jednak, że nie o innych, tylko o tych, co w Zabłociu mieszkają, i dlatego ich Boguszami-Zabłockimi nazywają.

– Cóż to za ludzie? – spytałem.

– Najszanowniejsi w świecie – rzekł Zbąski. – Starościna, staruszczyca, anioł dobroci kobieta, mąż jej, jeszcze od niej starszy, żyją, jak para siwych gołębi, syna jedynaka stracili – służył w wojsku.

Wnet mi na myśl przyszło, że znałem Bogusza w szwoleżerach, i nie wiedzieliśmy tylko, czy ten sam. Zbąski mi dalej opowiedział, że dwie córki zostało Boguszom, pani Sawicka i Baranowiczowa, które przy rodzicach albo obie lub z kolei przebywały, że miały już dzieci dorosłe i t. p. Gdyśmy się rozgadali dłużej, dodał Zbąski, iż staruszka to najmłodsze swe dziecko, syna, który służył w wojsku, kochała niezmiernie, tak dalece, że, gdy przyszła wiadomość o jego śmierci, nie śmiano jej powiedzieć, że zginął, a biedna matka była dotąd w nadziei powrotu tego, który już nigdy nie miał powrócić... W złudzeniu tem wolano ją utrzymywać, niżeli odjąć jej jedyny promyk, co życie

---

<sup>2</sup> *intra parenthesim* (łac.) – w nawiasie. [przypis autorski]

krzepił i ozłacał. Staruszka sama sobie biedna wymyślała historie najdziwaczniejsze o niewoli tego nieboszczyka, o przebywaniu gdzieś w jakimś nieznanym kraju, z którego powrotu się jego zawsze spodziewała.

– Mówię ci to – dodał Zbąski – zawczasu, ażebyś, jeżeli tam pojedziemy, nie wygadał się z czem niepotrzebnie. Moim zdaniem byłoby okrucieństwem tej matce odejmować ostatnią życia nadzieję.

Zdało mi się to trochę dziwaczne, przyznaję, że ją tak okłamywano – ale cóż mi było do tego? Nazajutrz, gdyśmy się wywczasowali i powstawali, znowu o Boguszach myśląc, przypomniałem sobie mojego szwoleżera i okoliczność jedną, w pierwszej chwili zapomnianą, że dwa czy trzy razy mnie za niego wzięto. Raz nawet, biorąc to za jakiś żart niedorzeczny, pogniewałem się mocno, i o mało do pojedynku nie przyszło. O tem nie potrzebowałem mówić ani Zbąskiemu, i nikomu też. – Bawiliśmy się jeszcze dni parę u Moskorzewskich przedziwnie, potem zabrali nas w sąsiedztwo Lewicy, u których też hasano, choć dom był ciasny; na ostatek Zbąski mi przypomniał, żeby do Boguszów jechać, których dobrze zna.

– Tam – rzekł – choć panienek podobno jest parę, ale starzy spokoju potrzebują: zapust więc hucznych nie sprawiają. Bądź co bądź, nie znudzimy się bardzo. Mnie Bogusze ci są potrosze krewni; stary wiele razy zapraszał. Jedźmy.

Ruszyliśmy tedy do owego Zabłocia, mil cztery opętanych, saniami. Tymczasem zrana zaraz po trzaskającym mrozie wczorajszym jak lunie deszcz, do południa sanęm lichem wzięło. Sunęliśmy się połowę drogi po błocie bez śniegu, szczęściem jeszcze gdzie kałuża była, bo się na dnie zamróz utrzymał. Zamiast przybyć, jakeśmy sobie układali, po obiedzie, dowlekliśmy się dopiero o gęstym mroku. Co tu robić! rada w radę, czy do austeryi zajechać i jutrzejszego ranka czekać, czy od razu do dworu? Ja byłem za austeryą, Zbąski za dworem. Stanęło na mojem, ale Żyd, choć mu to było na rękę, żebyśmy u niego nocowali, nie śmiał nas przyjmować, wiedząc, że dostanie burę. Karczma stała nieopodal ode dworu; ktoś widać ze sług był w niej, gdyśmy nadjechali – i nadbiegł stary kamerdyner, aby nas natychmiast zabierać.

– To u nas niesłychana rzecz – zawołał – żeby kto nocował w austeryi, niech Bóg uchwala! Pan starostaby się gniewał! Niema tego zwyczaju!

Jak zaczął naglić, tylkośmy się ogarnęli, bo droga nas w niwecz obróciła, i pojechaliśmy.

Zdała już po dworze wielką zamożność państwa poznać było można. Dwór był staroświecki, murowany, na rodzaj pałacu przerobiony, ogromny. Tuż oficyny, z nim połączone galeryami krytymi, zabudowania pyszne, kaplica, skarbiec. Tylko nie widać było nowej elegancyi w tem, ale jakąś staroświecką zamożność, co świecić nie chce, nie zaleca się sobą, a czuć pod nią fundamenta mocne.

Służby w ganku stało dosyć; ale nie strojnej, odzianej skromnie, rumianej, wesołej i dobrze wykarmionej.

Nim przebraliśmy się, zajechali, wysiedli, mrok się zmienił w noc, ciemniuteńko było i w pokojach się już świeciło. W domu panowała cisza jakaś uroczysta, spokój jakiś miły. Stary ów kamerdyner w perłowym kontuszu, z zegarkiem na piersiach, tabakierką i chustką do nosa, poufały jakiś, którego w karczmie nie widziałem, bom się w drugiej izbie odziewał, gdy wyszedłszy naprzeciw ze świecą, spojrzął na mnie, coś mu się zrobiło i zachnął się. Myślałem, że mu się noga ośliznęła czy co – nie zważałem. Szliśmy już do salki bawialnej, do której nas prowadzono. Tu u drzwi stała średnich lat pani i dwie ładne panienki; była to pani Sawicka. Gdy Zbąski pierwszy wszedł, prowadząc mnie za sobą, i zastępująca gospodynią spojrziała na mnie, dostrzegłem, że pobladła dziwnie, mieszała się niezmiernie, obejrzała niespokojna, i jakby się coś stało nadzwyczajnego, słowa z początku odezwać się nie mogła.

Stała tak jakiś czas osłupiała i, nierychło dopiero opamiętawszy się, podała mi rękę, którą ucałowałem. Dwie córki, stojące za nią, równie jak ja, znalezieniem się tem matki zostały zdziwione. Zbąski też ogłupiał.

– Panowie darują – odezwała się głosem przerywanym i niepewnym – ojciec jest trochę niezdrów, matka także, ja na chwileczkę muszę wyjść do nich, wracam natychmiast. Misia i Lorcia zastępować będą gospodynią.

Wszystko to mówiła z pośpiechem, oglądając się ku drzwiom, z takim jakimś niepokojem wyraźnym, iż czuliśmy przybycie nie w porę. Ale po cóż nas zapraszano i ciągniono tak gwałtownie. Rzecz była niepojęta.

Grzeczne panienki, które zdawały się nie podzielać i nie rozumieć nawet zakłopotania matki, zaraz po jej odejściu, z wesołością wiekowi swojemu właściwą, zaprosiły nas do stolika, szczebiocąc i starając się rozpocząć jaką taką rozmowę.

Nie było to łatwym, ale katastrofa tego dnia i nagła odwilż, która nam takiego figla splatała, na początek dostarczała wątku. Zbąski, i zły trochę i zmieszany tem przyjęciem, usiłował nie pokazać po sobie, co się w nim działo; i nuż opisywać nasze dzieje, naszą sannę, utrapioną podróż i śmieszne jej przygody.

Panny radeby się były tem zabawić i prychały potrosze, ale – matka nie powracała, spoglądały na siebie, widocznie zrozumieć tego nie mogąc, dlaczego uciekła tak prędko i została tak długo.

Wszystkim nam ten kwadrans wydał się godziną, chociaż ja wiedziałem najlepiej o tem, iż więcej kwadransa nie trwało to dziwne położenie, bo siedziałem naprzeciw przepysznego zegara, w szafce brązowej zamkniętego, który miałem czas admiringować.

Przedłużone oczekiwanie na matkę zaniepokoiło w końcu jedną z panienek, która, pokręciwszy się na krzeselku, poszeptawszy coś z siostrą, wyrwała się i pobiegła. Została do bawienia nas dwóch jedna gosposia, na którą wystąpiły rumieńce, wesołość ją opuściła, żal mi się zrobił niezmierny biednej dziewczyny – i to było pono zawiązkiem, jak państwo zobaczycie, daleko gorętszego dla niej sentymentu.

Zbąski, pomimo nadrabiania wesołością, coraz większe też okazywał zakłopotanie, w głowie mu się nie mogło pomieścić, co się stało. Zapytał w końcu pannę, czy nie zasłabł kto w domu?

Panna spuściła oczy i bełkotała coś niewyraźnie:

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.